

dr hab. Dariusz Vasina
Akademia Sztuk Pięknych
w Krakowie
31-157 Kraków
pl. Matejki 13

Kraków, 05.04.2022

Recenzja sporządzona w związku z postępowaniem w sprawie nadania stopnia doktora mgr Lenie Achtelek wszczętym w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach w dn. 06 grudnia 2019 r. w dziedzinie sztuki, w dyscyplinie artystycznej: sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki.

Memento tinea

Pamiętaj o ćmie

Do zrecenzowania dostałem małą trumienkę.

Zamiast drewnianych deseczek, cienki sztywny papier. Od zewnątrz czarny i błyszczący, w środku ciepły i brązowy co świadczy o tym, że zawartość martwa wcale nie jest. Taką trumienkę niesie grabarz w obrazie Karola Tichego p.t. *Elegia*, który widziałem, będąc dzieckiem w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Po sprawdzeniu w wyszukiwarce: trumienka w kolorze kobaltu, nie biała jak myślałem, grabarz ubrany na czarno z wykwintnym pierogiem na głowie, nie na błękitno jak zapamiętałem. Idą wzdłuż alei z zakonnice których twarze są oświetlone pomarańczowym światłem bijącym od trumienki, jakby nadal tliło się w niej życie, twarze oświetlone niczym czarny papier, który robi się beżowy od otulanej zawartości.

W środku prostokątne pudełko, pochewka, trumienka właściwa, w pochewce książeczka pięknie zaprojektowana. Solidna, gruba, obita płótnem w kolorze popiołu, jednocześnie piękna w proporcjach, oszczędna w środkach. Uwagę zwraca dbałość o detale, więc wszystkie zmysły zaczynają się na detale wyczulać. Jak na przykład to, że od strony, gdzie książeczkę się wyjmuje brzegi trumienki-pudełeczka są delikatnie ścięte do środka, tworząc tym samym miejsce na palce, które ułatwia wyciąganie. Przy okazji kształt się robi niezwykle wyrafinowany. Skrzydło pudełka wygląda jak skrzydło motyla.

Na okładce od razu, na wejściu test Rorschacha.

Figura składa się z czterech czarnych motyli, czterech strażników strzegących zawartości.

Dwa umieszczone jeden nad drugim główką do góry, po Bożemu, dwa po bokach jeden główką w lewo, drugi główką w prawo. Myślałem, że są takie same, tylko te boczne różnią się wielkością, gdy się przyjrzałem kształtowi między nogami, znaczy między dolną częścią skrzydeł, wyszło mi, że każdy jest inny. Kto nie zda testu, nie otworzy książki.

Chyba zdałem.

Dla chętnych podaję „hasło”, czyli moje skojarzenia:

- naga postać kobieca w fantastycznym kapeluszu, z bufiastymi ramionami, w butach muszkietera,
- rozdziawiona ptasia czaszka,
- żaba w rękawicach z rozdartej mufki rozciągnięta nad przepaścią.

Na odwrocie pudełka-pochewki ten sam wzór odbity suchym tłokiem, znak, że lektura zawartości na pewno ślad w oglądającej / oglądającym zostawi.

Gdyby w środku pudełka była gra nie książka, co nie jest dalekie od prawdy, bo wszak ta książka to trochę gra z czytelnikiem, musiałyby to być szachy jakimi ze śmiercią gra Max von Sydow w *Siódmej pieczęci* Ingmara Bergmana walcząc o swe życie.

Something Wicked This Way Comes, skrzeczy wiedźma ustami i głosem genialnej amerykańskiej aktorki greckiego pochodzenia Kathryn Hunter. Jak słyszę jej lekko zachrypnięty głos wymawiający te słowa w filmie *Tragedia Makbeta* Joela Coena to cały się trzęsę. Jej przyprowadzająca o dreszcze rola wiedźmy została w tyle wszystkich innych aktorów, powodując, że inne kreacje grających w tym filmie gwiazd, nierzadko dużego formatu wydają się być słabe, miłkie i nijakie. Film poprzez scenografię, zdjęcia, oświetlenie, minimalistyczną scenografię wyraźnie nawiązuje do *Siódmej pieczęci* Bergmana, lecz mimo tego wypluł można by rzec tylko jedno złote jajo.

Więc mamy tu:

pochewka - pudełko - gra - szachy - *Siódma pieczęć* - *Tragedia Makbeta*

Ta uważność w detalach obecna w każdym calu pracy pani Achtelik powoduje, że zamieszczony w kopercie pendrive zwraca mą uwagę. Ma małe okrągłe okienko, klasyczne proporcje. Jego kształt ma w sobie coś z architektury cmentarnej. W dotyku nie jest jednoznaczny, ciągle nie mogę się zdecydować, czy to guma czy plastik. Gdy go wtykam w komputer, zaczyna ożywać, w środku zapala się czerwone światełko. Trochę jak w lampce, którą się stawia na grobach w Święto Zmarłych. Światełko zaczyna pulsować niczym szybko bijące, małe serce. Gdy go wyjmuję - umiera. Przy wyjmowaniu zaczynam się wahać. Lecz tak łatwo ożywić go z powrotem, że wyrzuty sumienia szybko znikają. Ta możliwość, ożywienia i ponownego uśmiercenia zaczyna mnie nudzić i męczyć, niczym coraz bardziej obojętnego Boga.

Książeczkę rozpoczyna esej napisany rzetelnie, gęsto, wręcz naukowo. Tekst jest pełen przypisów, odnośników, odsyłaczy, bibliografia oszołamia i przytłacza. Po przebrnięciu przez pierwsze dwie strony miałem moment załamania, chciałem dzwonić, odmawiać, przeproszać. To nie zarzut, a jeśli, to nie do doktorantki a do recenzenta. Esaj jest rzeczowy, napisany profesjonalnie, czuje się licencjat pani Achtelik z Historii. Ten esaj potrzebuje, jeśli już to osobnej recenzji specjalisty antropologa, historyka sztuki bądź kulturoznawcy. Taki jest świetny.

Przeglądając twórczość pani Leny Achtelik nie sposób nie zauważyć, iż osiłą zainteresowań jest problematyka śmierci, przemijania, umierania i związana z tym ikonografia oraz wiedza.

Dla snucia kolejnej opowieści o przemijaniu pani Achtelik wybrała formę atlasu.

Wyszukiwarka Google po wpisaniu słowa *atlas* i wybraniu strony Wikipedii oferuje nam ponad 40 różnorodnych znaczeń tego terminu.

Atlas wedle Wikipedii to:

mitologiczny tytan dźwigający sklepienie niebieskie,

pasmo górskie w północno- zachodniej Afryce,
publikacja zawierająca zbiór map, wykresów, rycin, ilustracji, np. atlas geograficzny,
historyczny, atlas grzybów, atlas anatomiczny i inne,
w anatomii nazwa łańcuchowa pierwszego kręgu szyjnego,
w architekturze rzeźba w postaci muskularnego mężczyzny podtrzymująca sklepienie
zamiast kolumny.
To także księżyc Saturna,
rakieta kosmiczna,
wielofunkcyjny przyrząd sportowy służący do wykonywania ćwiczeń kulturystycznych,
język programowania,
Attacus atlas- jeden z największych motyli,
album muzyczny australijskiej grupy Parkway Drive,
postać z gry wideo BioShock,
gwiazda potrójna w gwiazdozbiore Byka oraz polski film krótkometrażowy z 2018 roku.
Ta wieloznacznościowość, gdzie w efekcie słowo atlas jest rodzajem linku, odsyła w różne
często niezwiązane ze sobą rejony jest trochę zapowiedzią tego co nas czeka w środku.

Paweł Brożyński we wstępie do polskiego wydania *Atlasu obrazów Mnemosyne Aby'ego Warburga* pisze:

„*Atlas obrazów Mnemosyne* jako podpora pamięci (lub pamięć o podporze) jest przede wszystkim jednak zbiorem zbiorów. Zespołem 63 tablic, z których każda zawiera od kilku do kilkudziesięciu reprodukcji. Każda z reprodukcji, rzeźb, tapiserii, cassonni, znaczków pocztowych, reklam czy plakatów jest kolejnym zbiorem, na który składają się przedstawione na nich postaci i przedmioty czy następne dzieła sztuki. Na tablicach Atlasu znajdziemy więc historię ikonografii starożytnej i nowożytnej, dzieje medycyny i astronomii, pierwociny fotografii prasowej, przedstawienia gier takich jak tarot czy kości, syntetyczny przegląd historii kar cielesnych, ale przede wszystkim historię i ikonografię magii, wiedzy tajemnej oraz astrologii których badanie pasjonowało Aby'ego Warburga w sposób szczególny.”

Parafrazując ten cytat, o *Atlasie Śmierć ćmy* Leny Achtełik moglibyśmy napisać:

„*Atlas obrazów Śmierć ćmy* jako podpora pamięci (lub pamięć o podporze) jest zbiorem zbiorów, lecz przede wszystkim rodzajem gry z czytającym i oglądającym. Zespołem blisko 200 stron, z których prawie każda zawiera po kilka tekstów, cytatów, opisów, wierszy, esejów, reprodukcji rycin, obrazów, zdjęć, wykresów, rysunków, etc. Na tablicach Atlasu znajdziemy więc przykłady z ikonografii starożytnej i nowożytnej, z dziejów medycyny, astronomii, biologii, historii fotografii, przedstawienia historyczne i ikonografię magii, wiedzy tajemnej oraz astrologii, a to wszystko mniej lub bardziej związane z problematyką śmierci, która pasjonuje panią Lenę Achtełik w sposób szczególny.”

Atlas pani Achtełik rozpoczyna niezwykle esej Wirginii Woolf pt. *Śmierć ćmy*.

Czytając tekst odnosimy wrażenie jakby autorka posiadała umiejętność odbierania rzeczywistości w dużo bardziej zróżnicowany sposób niż większość ludzi, jakby posiadała co najmniej dodatkowe dwa, trzy zmysły.

Temat ćmy i jej agonii w podwójny sposób lokuje się w kręgu zainteresowań pani Achtełik. Z jednej strony ćma, nocny motyl i jej trzy fazowa egzystencja będąca metaforą ludzkiego życia, śmierci i zmartwychwstania, z drugiej zaś śmierć będąca dla pani Achtełik tematem nadrzędnym.

Esej dostarcza pierwszego hasła, jest trochę jak pierwsze domino w wielkiej od tygodni układanej układance, którego popchnięcie zapoczątkuje dynamiczny, efektowny spektakl. Lub jak wirus, na którym siedząc okrakiem niczym baron Munchausen na kuli armatniej przemieszczamy się z jednej osoby na drugą, z jednego skojarzenia na następne. Zasada skojarzeń nie jest zdefiniowana, nie jest jednoznaczna. Z jednej strony jest tu pełna swoboda, z drugiej jednak wszystko kręci się wokół trzech motywów: śmierci, ćmy i motyla. Skojarzenia są mniej lub bardziej swobodne, czasem tekst jest przyczyną do pokazania obrazka, czasem odwrotnie. W niektórych przypadkach tekst poprzedza obrazek, który jest jego ilustracją.

Niezwykle podoba mi się pewien rodzaj zapętlen będący trochę przykładem metody czy też może charakteru ukazanego mechanizmu- co parę stron pewne wyrażenia zaczynają się powtarzać, jakby było to wynikiem zgubienia tropu bądź wejścia w ślepią uliczkę.

To nie błąd, lecz wymyślona przez autorkę zasada.

Pani Achtelik przeczesuje kulturę i ikonografię szukając w nich motywów śmierci i jej symboli, motyli dziennych i nocnych ruchem latającego motyla właśnie, w bok i z powrotem, w drugi bok i z powrotem.

Ilustracje są czarnobiałe, całość wydrukowana na dość cienkim, 80 gramowym papierze. Niektóre z nich są dla mnie nieczytelne, bądź to z powodu niewielkich rozmiarów, słabej jakości druku bądź z powodu, że po prostu nie wiem co to jest. Ponieważ na końcu książki znajduje się opis wszystkich tekstów i ilustracji, które są ponumerowane, mogę to zawsze sprawdzić.

Szczerze mówiąc podoba mi się jednak ta sytuacja, gdzie nie rozpoznając kształtu czy tematu ilustracji zaczynam sobie wyobrażać co przedstawia i do czego się odnosi.

To samo tyczy tekstów, które nie opisane i nie podpisane, zaczynają brzmieć jak prawdy lub poezje bujające się swobodnie w powietrzu, które złapaliśmy w siatkę niczym przypadkowego motyla.

W Atlasie, który generalnie poprzez szary kolor papieru i czarno popielate ilustracje ma stonowany charakter znajduje się siedem ilustracji kolorowych. Są to ilustracje o numerach 137, 138, 222, 223, 235, 236, 301. Próbując znaleźć powód wydrukowania ich w kolorze zakładam, że w przypadku ilustracji 137 jak i 138 trudno było się oprzeć zachwytowi nad bogactwem kolorowych kwiatów przedstawionych na XVI wiecznych obrazach olejnych. Podobnie dzieje się w przypadku obrazu nr 235 oraz obrazu nr 236 przedstawiającego bukiet oraz wieniec z kwiatów i motyla- oba także z XVI wieku.

Może te obrazy, imitacje kwiatów mają nas przyciągać jak prawdziwe kwiaty motyle. W przypadku ilustracji 222 i 223 przedstawiających Vanitas, to obraz z w. XVI i tablice z wizerunkami motyli Ameryki Północnej z wieku XIX, wyraźnie widać, iż powód to identyczny wzór skrzydła motyla znajdujący się w jednym i drugim przypadku. Kolor uwydatnia identyczność wzoru. Ilustracja nr.301, gdzie jedno skrzydło motyla świeci fosforyzującym błękitnym wewnętrznym światłem jako czarno- biała reprodukcja nie miałaby sensu. A może powody były jeszcze inne, może autorka umieściła je w kolorze, bo taką miała fantazję albo funduszy starczyło tylko na siedem.

Gdy przeglądamy Atlas, każdy tekst, każda ilustracja jest częścią misternie budowanej przez autorkę układanki. Oprócz tego staje się figurą gigantycznego kłącza rozrastającego się poprzez oglądających go obserwatorów i czytelników, otwierając w ich głowach kolejne i kolejne skojarzenia.

Poniżej, na paru przykładach dotyczących, proszę o wybaczenie, mojej pamięci postaram się tę metodę przybliżyć.

98. Ilustracja.

Nieznajoma z Sekwany, A.Rudomine, fotografia maski pośmiertnej, 1927

108. Ilustracja

Nieznajoma z Sekwany, maska pośmiertna, odlew gipsowy z warsztatu Lorenza Moulage d'art.

97. Tekst.

S.Rosiek(nienapisane), Gdańsk 2008, s.50-51, 56-57,63. (fragment)-[...] „Twarz młodej topielicy, odlaną w trupiarni, ponieważ była piękna, ponieważ uśmiechała się tak ładząco, jak gdyby wiedziała”. [...] Jako porcelanowy bibelot produkowany przez Porzellanfabrik W.Goebel zdobiła niejednen mieszczański salon [...]

W pokoju mojej babci, który trudno nazwać mieszczańskim salonem, bardziej salonem babcinym, na ścianie wisiła maska pośmiertna. Rozpoznałem ją na reprodukcjach 98 oraz 108. Była trochę inna niż na zamieszczonych fotografiach, zrobiona z materiału przypominającego niewyszlifowany, matowy marmur. Teraz wiem, że to musiał być odlew porcelanowy. Twarz młodej dziewczyny miała identyczny uśmiech, podobne rysy, choć wydaje mi się, że była jednak trochę inna. Budziła zrozumiałą fascynację parolatką, szczególnie po tym, gdy moja babcia z tajemniczą miną się wygadała się, że to twarz topielicy. Padło wtedy bodajże także hasło- Sekwana, choć wcześniej byłem przekonany, że to twarz osoby, która utopiła się w Wiśle. Zawsze jak o niej myślałem to wizualizowałem sobie brzeg Wisły. Fascynował mnie ten uśmiech w zestawieniu z dramatyczną historią. Był niepasujący. Z jednej strony oswajał drastyczność historii, z drugiej zaś powodował dziwne chorobliwe uczucie którego parolątek nie potrafił zdefiniować a co dopiero nazwać. Pamiętam, że nie traktowałem tej małej, białej główki jako przedmiotu jakim jest odlew czy rzeźba. Dla mnie była częścią prawdziwej osoby, która umarła. Patrzyłem na nią jak na zatrzymany obraz śmierci, małe białe okienko, przez które patrzy na nas dusza zmarłej dziewczynki.

334. Tekst.

Świece, światła i ich symbolika

A.M.di Nola. *Tryumf śmierci, Antropologia żałoby*, tłumaczenie M.Woźniak, Kraków 2006

ŚWIECE, ŚWIATŁA I ICH SYMBOLIKA

„Z przygotowaniem zmarłego łączy się rytuał zapalania świec, świateł, lampek, a w starożytności pochodni, którymi w mniejszej lub większej ilości otoczony jest nieboszczyk, aż do chwili jego wyprowadzenia z domu, a czasami nawet i dłużej. Ponieważ te światła zapalano nie tylko w nocy, ale także za dnia, ewidentnie nie służyły one wyłącznie do oświetlania pomieszczenia, gdzie znajduje się zmarły, czy kościoła, do którego zostanie przeniesiony, ale miały własną symbolikę, obecną również w wykładni ludowej. Zwyczaj zapalania jednej lub więcej świec umierającym i później przy zwłokach, na grobie, w kościołach podczas żałobnych nabożeństw, na mogiłach, miałyby dwa konkretne cele. Z jednej strony świeca-światło to życie, zwłaszcza świeca gromniczna palona przy umierającym, którego życie właśnie powoli gaśnie. Z drugiej strony, światło poświęconej

świecy oddała złe duchy od umierającego i od nieboszczyka. Bowiem tekst błogosławienia świec w *Rituale Romanum* mówi: „Ażeby zapalone i gdziekolwiek postawione oddalały księżąt ciemności, niechaj przepętnieni strachem uciekną z tych domów przerażeni wraz z wszystkimi swymi sługami, i niech nie ośmielają się więcej niepokoić Twoich sług, Panie Wszechmogący, ani ich dręczyć”. [...]

W czasie jednej z moich wizyt na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, w dniu Wszystkich Świętych zapuściłem się w starą część cmentarza, pełną grobów dawno już przez nikogo nie odwiedzanych, wielkich jak świątynie greckie tyle że w pomniejszeniu. Było tam ciemno, cicho, z daleka dochodziło trzaskanie pękających szklanych lampek. W powietrzu unosił się zapach spalonych knotów, rozgrzanej parafiny i kadzideł z pobliskiej kaplicy. Miałem plecak pełen świeczek, chciałem na grobach zaniedbanych, starych, od dawna przez nikogo nie odwiedzanych zapalić lampkę, małe światełko, wierzyłem, że może to tym zmarłym pomóc, choć konkretnie nie potrafiłbym wytłumaczyć w jaki sposób.

Znalazłem alejkę z trzema ciemnymi, zaniedbanymi sarkofagami. Pierwszy przy którym stanąłem był mojego wzrostu. Stanąłem dość blisko. Ciszę przerwało miarowe bicie dzwonu z cmentarnej kaplicy. Zauważyłem, że nikogo nie ma, dzwon bił coraz głośniejszy, słyszałem go w moich uszach a właściwie jakby dwa dzwony, jeden w lewym drugi w prawym uchu. Miałem wrażenie, że zrobiło się cieplej, właściwie duszno. Zapach rozgrzanej parafiny zaczął mi przeszkadzać. Zacząłem się niepokoić, chciałem to szybko załatwić, wyciągnąłem świeczkę z plecaka, ubrałem go z powrotem, świeczka zapaliła się dopiero za trzecim razem. Gdy pochyliłem się, aby ją umieścić przed grobem, plecak z ramion spadł mi na tył głowy. Mało nie umarłem na zawał.

335. Tekst.

V. Woolf, *Motyle i ćmy: owady we wrzeźniu*[in:] Eseje wybrane, oprac. M. Heydel, R. Sendeka, tłum. M. Heydel, s. 406-407

„Pewnego pięknego wrzeźniowego poranka na ścianie domu pojawiła się czarna plamka. Żarząca się ambicja natychmiast buchnęła płomieniem i orzekliśmy, że to ćma, wielki fruczak gołąbek – a może nawet zmierzchnica trupia główka? A kiedyśmy ją delikatnie przymusili do wylądowania, potwierdziła, że tak jest w istocie; była wielka i puszysta jak mysz, na jak gdyby aksamitnym tle rysowała się czaszka i skrzyżowane piszczele”. [...]

Pewnego, letniego wieczoru siedziałem z rodzicami w kuchni, okno balkonowe było otwarte, na zewnątrz czarna otchłań wieczoru, w środku kuchnia zalana białym, szpitalnym w kolorze światłem. Nagle do środka wleciał ptaszek, jakiś taki za wolny, jakby z trudem latający. Przez moment myślałem, że to młody, niedojrzały nietoperz, który uczy się latać. Gdy usiadł zobaczyłem małą śmierć patrzącą mi prosto w oczy. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci tym widokiem, nikt nie przypuszczał, że ćma może być tak wielka. Gdy zdziwienie zniknęło, zacząłem się martwić co zrobić by nic jej się nie stało i jak spowodować, żeby odleciała wolna. Ten rodzaj empatii był połączeniem zabobonu mówiącego o tym, że zabicie pająka przynosi nieszczęście, troski o żywe stworzenie i wizerunku czaszeczki, no bo jak uśmiercę śmierć to nic gorszego mnie spotkać chyba nie może. Nie pamiętam, czy znalazłem miskę i metodą „na widokówkę” wypuściłem ją na zewnątrz, czy zrobiłem gniazdo z dłoni, i trochę się potem martwiłem, bo jak wiadomo dotknięcie pyłku na skrzydłach motyli dziennych czy nocnych powoduje, że one umierają (tak słyszałem od dzieciństwa). Pamiętam też, że

przemknęło mi przez głowę kuszenie, aby ją zatrzymać, zaczekać aż wyschnie i zachować jako okaz, tak była niesamowita.

Potem przypomniałem sobie, że wcześniej miałem sen. Śniła mi się nasza kuchnia, tak samo oświetlona, w niej ja i moi rodzice, okno balkonowe otwarte na czarną, letnią noc tak samo. I przez to okno usiłowali się dostać kosmici, obcy lub osoby z innego wymiaru, kosmosu. Mieli takie dziwne jasne kostiumy, trochę jakby kask spawacza połączony z kremową tuniką, która falowała. Zdążyliśmy uciec, lecz ja musiałem wrócić, bo sobie przypomniałem, że okno zostawiłem otwarte i oni przez to okno wleżą nam do środka.

239. Tekst.

Cmentarz jest wśród otoczenia ruin miejscem otwartym, w zimie pokrytym fiołkami i stokrotkami. Można by się nieomal zakochać w Śmierci na myśl, że zwłoki nasze na tak uroczym spoczną miejscu.

P.B.Shelley, Adonais, tłum.J.Kasprowicz

Zawsze bardzo lubiłem dzień Wszystkich Świętych i związaną z tym wizytę na cmentarzu. Po cmentarzu szczególnie lubiłem spacerować po zmroku, wokół było teatralne światło, pachniało woskiem. Po alejkach, między grobami spacerowało dużo ludzi, wieczorne odwiedzanie zmarłych było już czym innym niż obowiązkowa wizyta przed południem, na grobach swoich bliskich przed rodzinnym obiadem. Wieczorem ogląda się groby innych, wieczorem przychodzi się na cmentarz z dziewczyną. Wycieczka na cmentarz wieczorem to było co innego, cmentarz stawał się promenadą, okazją do przeżycia spektaklu, w którym bierzemy czynny udział. Lubiałem sobie wyobrazić, że te alejki pełne przesuających się powoli ludzi są obrazem końca świata, dnia Sądu Ostatecznego i ja w nim biorę udział i dzieje się to teraz. Spotykamy znajomych bliskich którzy już odeszli, panują cichy rozgardiasz, subtelna euforia i radosny spokój. Idziemy w kolejce do punktów kontrolnych, gdzie aniołowie będą nas kierować do góry, na dół, na półpiętro.

Na jednego z moich ulubionych malarzy Stanleya Spencera trafiłem przez jego obraz pt. Zmartwychwstanie, właśnie dotyczący dnia Sądu Ostatecznego. Dziwny widok cmentarza oświetlonego wieczornym, światłem, groby pootwierane, wychodzą z nich ludzie w ubraniach współczesnych do epok w których żyli, niektórzy są nadzy, niektórzy się dopiero ubierają. Nie sposób było przeoczyć tak dziwaczne przedstawienie. Byłem nim tak zafascynowany, że sam stworzyłem cykl gwaszy inspirowanych Spencerem, ludzie na nich wyglądali jak my, rano, tuż po przebudzeniu. Właśnie parzy się przed chwilą postawiona kawa. Sprzedałem te gwasze potem do Danii, pieniędzy dawno nie ma a mogłem je schować w szufladzie, oglądałbym je sobie teraz z przyjemnością.

W Danii, w mieście Arhus cmentarz jest fascynujący poprzez swój protestancki minimalizm. Groby to często jeden kamień. W niektórych przypadkach jest tylko tabliczka z imieniem i nazwiskiem, czasem tylko z imieniem lub zadbany trawnik. Często jest ustawianie mosiężnych, małych ptaszków o ewidentnie symbolicznej wymowie. U nas cała architektura, małe pałace, świątynie i przepych. Choć piękne są światła lampek i bogactwo kwiatów. Na wyspę umarłych w Wenecji płynęliśmy niczym w obrazie Arnalda Böcklina. Na miejscu miasto cmentarne, ulice pełne bloków i apartamentów. Bałem się, że się zgubie i zostanie tam na zawsze.

Dzień Wszystkich Świętych - cmentarz - Sąd Ostateczny - „Zmartwychwstanie” - Dania - cmentarz - ptaszek - Wyspa Umarłych - bloki

201. Ilustracja.

Saturn [in]A.A.Hopkins, *Our country and it's resources*, New York 1917, s.445

*Gdzieś około 30 lat temu pojechaliśmy się ze znajomymi na wakacje. Zamieszkaliśmy w miejscowości oddalonej 10 km od morza. Pewnego dnia wybrałem się sam na plażę, nikt nie chciał mi towarzyszyć. W przyplażowym sklepie kupiłem dwa piwa. Następnie udałem się nad morze, aby piwa w pięknej scenerii spożyć. Znalazłem miejsce na dziwnych umocnieniach tuż przy morzu, które składały się z betonowych, monstrualnych, dziwnych form z czterema nogami. Figury były gigantyczne, poukładane jedne na drugich, wyglądały jakby wielkolud porzucił je po zabawie w wojnę, gdy ta mu się już znudziła. Gdy wdrapałem się na górę wypłem jedno piwo oglądając w skupieniu zachód słońca. Drugie mi spadło i się rozbiło o betonowe umocnienia. Czułem smutek i melancholię. Było mi smutno, że jestem na tej plaży sam, to był jeden z tych momentów w życiu, kiedy nie bardzo wiemy co robić. Zszedłem na dół, na plażę. Na plaży spacerowało dużo ludzi, pary, rodziny z dziećmi, grupy młodych ludzi, psy biegały w koło. Wszyscy rozmawiali cicho prawie szeptem, oszołomieni zapewne zjawiskowym zachodem słońca, które właśnie chowało się za horyzontem, rozpoczynając spektakl zatytułowany *Złota godzina*. Położyłem się na plecach na piasku i spojrzałem w niebo, które zaroilo się od gwiazd. Pomyślałem, że teraz zasnę, a że jest tak niesamowicie, to mój sen musi być niesamowity, ważny i koniecznie profetyczny. Obudziłem się gdzieś po pół godzinie.*

Na plaży już prawie nikogo nie było.

Nie pamiętałem co mi się śniło.

Ilustracja nr.201 przedstawiająca planetę Saturn tonącą w morzu przypomniała mi tamtą chwilę, zupełnie nie wiem, dlaczego.

69. Tekst.

V.Nabokov, *Pamięci, przemów.* Autobiografia raz jeszcze, tłum. A. Kołyszko, Warszawa 2004, s.110-111

[...] Wyjątkowo pasjonowały mnie tajemnice **mimikry** [...]

Fragment prozy Nabokova przypomniał mi zjawisko, które mógłbym nazwać mimikrą odwróconą i nie wiem, czy zostało kiedyś opisane, nawet nie wiem czy naprawdę istnieje. Opiszę je na przykładzie.

Kiedyś wracając od mojej ówczesnej sympatii, szedłem nocą, wzdłuż alei, przy której co jakiś czas rosły stare kasztany i dęby. Pamiętam, że byłem bardzo zmęczony, lecz czułem się bezpiecznie, wzdłuż drogi, którą się poruszałem co chwilę przejeżdżał kolejny samochód. Nagle, w oddali zobaczyłem małego giganta chowającego się za drzewem. Pamiętam, że do tego, że jest prawdziwy przekonała mnie jego skala, nie był on nienaturalnie monstrualny, był nieco większy niż słusznej postury człowiek a przez to możliwy. Dla niepoznaki wyglądał jak drzewo, za którym się chował.

Przestraszyłem się nie na żarty, choć chyba najbardziej tego, że widzę coś czego nie rozumiem. Nie wiem czy ze zmęczenia, czy z przekory postanowiłem iść dalej i zobaczyć co się stanie. W miarę zbliżania się, uważnie obserwowałem potwora. Miałem wrażenie, że się porusza i wierci chcąc się schować za drzewem, ukryć przed moim wzrokiem bardziej skutecznie. Gdy już zacząłem się zbliżać, czułem jak kropla potu płynie wzdłuż mego kręgosłupa. Wtedy właśnie gigant płynie, na moich oczach, niczym w animacji zamienił się w odstający korzeń, gruby pień i hubę.

Powyższe opisy są tylko skromnym przykładem tego jak praca pani Achtelik może rozbudzić wyobraźnię, ujawnić drogowskazy do własnej pamięci, czasem nieuświadomionych zasobów wiedzy, dalszych poszukiwań. Ta praca jest do czytania na dłużej, jest gęsta od wiedzy i ikonografii, co paradoksalnie w tym przypadku pociąga bardziej niż odpycha.

Praca pani Leny Achtelik jest mądra i ciekawa, dopracowana pod każdym względem. Jest piękna stylistycznie, merytorycznie i graficznie. Jest wyważona nie przeładowana. To jedna z najbardziej niezwykłych prac doktorskich z jakimi miałem do czynienia i moim zdaniem poza zakres pracy doktorskiej się wznosi.

Będę do niej wracał wielokrotnie.

Ledwie ją „liznąłem” niczym miodek turecki który babcia kupowała mi zawsze na Święto Zmarłych.

Uwzględniając dorobek artystyczny oraz oryginalność projektu doktorskiego mgr Leny Achtelik stwierdzam, że praca doktorska spełnia wymogi określone w **art. 187 ustawy** z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (tekst jedn. Dz.U. 2022 poz. 574 z późn. zm.) i popieram wniosek o nadanie mgr Lenie Achtelik stopnia doktora w dziedzinie sztuki, w dyscyplinie artystycznej: sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki.

Łączę wyrazy szacunku
dr hab. Dariusz Vasina

